

Lidia Ciborowska
(Białystok)

PERLA OVITZ – ŻYDOWSKA KARLICA
DOKTORA MENGELE

*Artykuł dedykuję dzielnej kobiecie
o szlachetnym sercu:
Pani Mariannie Rutkowskiej
w podziękowaniu za wieloletnią przyjaźń.*

Karły w historii cywilizacji

Wszelka inność zawsze budziła różnorodne uczucia: ciekawość, fascynację lub obrzydzenie, stąd popularność wszelkich gabinetów osobliwości czy cyrków z występami *mirabiles monstorum* (dziwnych potworów), tak chętnie odwiedzanych szczególnie w XIX wieku. W porównaniu z osobami o innych ułomnościach karłom zwykle powodziło się nieco lepiej. „Złotą erą” dla nich były czasy starożytnego Egiptu, w którym składano hołd bogu-karłowi o imieniu Bes. Pomagał przy narodzinach i dbał o ułomnych zaniedbywanych przez innych bogów. Faraon Pepi I (2600 lat p.n.e.) twierdził, że dzięki swojemu karłowi Dandze nauczył się względności pojęć: wielkości i doskonałości. Rzymski cesarz August był tak głęboko przywiązany do swego karła Lucjusza, że po jego śmierci ufundował pomnik z najszlachetniejszego materiału. Jednak w salonach arystokratek rozebrane do naga karły były atrakcją przyjęć i okazją do śmiechu, lecz okrutniejszy los spotykał tych liliputów, których rzucano na arenę, by walczyli ze sobą lub padali rozszarpani przez dzikie zwierzęta.

W czasach nowożytnych na dworach królewskich i cesarskich maleńcy ludzie jako błazny rozśmieszali swoich panów dowcipami i figlami. Mogli bez obaw powiedzieć władcy prawdę, krytykować go i udzielać rad. Królowie darowali sobie małych dworzan jako prezenty, na przykład Karol IX otrzymał pięciu karłów od Zygmunta Augusta i trzech od Maksymiliana II z Niemiec.

Valakoff, karzeł Piotra Wielkiego, został w 1710 roku ożeniony z karlicą księżniczki Praskowii Teodorowny i noc poślubną mógł spędzić w sypialni użyzycznej przez samego cara. Nawet bohaterowie tego artykułu – rodzina Ovitczów – koncertowali w zamku króla Karola II w Bukareszcie. Echem służby na arystokratycznych dworach były pseudonimy przyjmowane przez liliputki, na przykład Księżniczka Marta, Księżniczka Paulina. Mężczyźni woleli przydomki nawiązujące do stopni wojskowych, stąd Generał Mite czy Generał Tom Thumb. Karły pracujące w przemyśle rozrywkowym zapożyczały nawet styl ubierania arystokracji: eleganckie suknie wieczorowe, efektowne kapelusze, wielką ilość sztucznej biżuterii.

W XIX wieku oglądanie wszelkich „dziwołagów” traktowano jako „kształcące doświadczenie”, więc tłumnie odwiedzano jarmarki, by przypatrywać się upośledzonym ludziom, szczególnie gdy wykonywali czynności przerastające w istocie ich możliwości, np. kobietę bez rąk przygotowującą herbatę itd. Tuż obok w zamkniętych namiotach lub kłatkach pokazywano gawiedzi ułomne osoby bezradne w swoim ciężkim kalectwie. W towarzystwie połykaczy ognia i kobiet z brodą występowali także lilipuci: śpiewali, tańczyli, wykonywali spektakularne ćwiczenia gimnastyczne. Jednak gdy któryś z karłów chciał osiągnąć sukces jako artysta – nie tylko jako liliput – często okazywało się to niemożliwe. W cyrkach mali ludzie występowali w rolach klaunów, akrobatów, jeździli na kucach i słońiach, zaś w Rosji istniało sześć cyrków zatrudniających wyłącznie karły. Najbardziej znanym cyrkowym artystą żydowskim był węgierski liliput urodzony w 1885 roku Zoltan Hirsch, którego ułomność wynikała z przebytej krzywicy. Nie przeszkodziło mu to w karierze w Rosji, Anglii, Afryce Południowej i Ameryce Łacińskiej. W 1904 roku powstało miasteczko liliputów w parku rozrywki „Dreamland” na Coney Island. Jego założyciel – Samuel W. Gumpertz – zaangażował 300 karłów, którzy zamieszkali w miniaturze Norymbergi z XV wieku i posiadali własny parlament, teatr, sklepy, kawiarnie, a nawet straż pożarną regularnie co godzina reagującą na fałszywy alarm ku uciesze zwiedzających. Już w 1913 roku powstało na wiedeńskim Praterze kolejne miasteczko liliputów, zaś potem inne miasta – Berlin, Paryż, Budapeszt – mogły pochwalić się tą wątpliwą „atrakcją turystyczną”.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, karły z Prateru udały się na światowe tournée przez Azję, Australię, Amerykę Południową i Stany Zjednoczone, gdzie złożyły wizytę u prezydenta Hardinga w Białym Domu jako goście honorowi. Ze względu na swoją ekonomiczną wartość karły były stosunkowo dobrze traktowane przez impresariów. Miały pewne i dobrze płatne zajęcie, żyły wśród podobnych sobie, co chroniło je przed frustracją. W międzywojennej Europie około 1500 liliputów pracowało w showbiznesie, zaś ich inte-

resy reprezentowało 71 impresariów, którzy wysyłali w teren swoich agentów, by ci przeczesywali nawet najbardziej zapomniane miejscowości w poszukiwaniu nowych maleńkich artystów.

W latach 30. także kręgi akademickie zainteresowały się karłowatością tak bardzo, że coraz bardziej zacierała się granica między pokazami dziwolągów a salami uniwersyteckimi. Lekarze bowiem łamali wszelkie tabu i dostarczali impresariom opinię lekarską dokładnie opisującą upośledzenie pacjenta, którą traktowano jako dowód autentyczności podnoszący wartość „eksponatu”. Medycy wyszukiwali liliputy w parkach rozrywki i przekazywali akademiom, by tam poddano je badaniom, a nawet zaprezentowano jako żywy „materiał badawczy” podczas konferencji naukowych. Naukowców fascynowały również szkielety pokazywane publiczności jako stałe ekspozycje. Przerażający jest przypadek Caroline Crachami, która po urodzeniu ważyła zaledwie 450 gramów i jako ośmioletnie, chore dziecko zwróciła uwagę doktora Gilligana. Ten zabrał ją „na leczenie” do Londynu, gdzie pokazywał ją (także w innych miastach) jako „najmniejszego człowieka na Ziemi”, bo dziewczynka mierzyła 50 cm wzrostu. Stała się zabawką dworów królewskich i arystokratycznych, zaś za dodatkowego szylinga oglądający mogli jej dotknąć. Dziecko załamało się, gdy w 1824 roku na jednym wieczorze zaprezentowano je dwustu osobom i zmarło w wieku niespełna dziewięciu lat. Zanim ojciec przybył po ciało, zostało ono sprzedane do Royal Academy of Surgeons i obecnie jest szkieletem nr 227 w Hunterian Museum w Londynie.

Judaizm a karłowatość

Judaizm skłaniał się ku pochwaleniu ludzi obdarzonych zdrowym ciałem, mimo że według przepisów halachicznych tylko podczas pierwszego spotkania z człowiekiem ułomnym można było wyrazić zadziwienie dla jego wyglądu. Następnie bowiem wymagano od pobożnego Żyda, by przewyciężywszy uprzedzenia, traktował taką osobę na równi z innymi. Jednak świeckie teksty i opowieści ludowe ukazywały karłowatość jako karę, a czasami jako mniejsze zło. Jedno z podań opowiadało historię bezdzietnego małżeństwa, które modliło się o potomstwo. Anioł przekazał im wolę Boga: spełni On ich prośby, ale muszą wybrać, czy chcą mieć chłopca nie większego niż ziarno grochu, czy zdrową dziewczynkę, która mając 13 lat opuści dom i przejdzie na chrześcijaństwo. Para bez wahania wybrała maleńkiego synka.

Były jednak karły szczególnie cenione w żydowskim środowisku za swoje zasługi, na przykład Rabbi Gadiel przedstawiony w książce laureata Nagrody Nobla – Szmuela Josefa Agnona. Gadiel ofiarował swoje życie, by uratować swoją gminę przed oskarżeniem o zabicie chrześcijańskiego dziecka dla krwi użytej do wypie-

ku macy. Także protoplasta rodu karłów – bohaterów tego szkicu – Szymson Ejzik Ovitz cieszył się poważaniem i autorytetem jako wędrowny rabin, gdyż mimo rabinicznych i biblijnych nauk prości ludzie przypisywali mu szczególną mądrość i siły magiczne jako pewne wyrównanie cielesnej ułomności.

Transylwania w 1868 roku

W sennej rumuńskiej wiosce Rozavlea Frida Ovitz urodziła swojego trzeciego potomka – Szymsona Ejzika, nazwanego na cześć biblijnego olbrzyma Samsona. Kiedy jeszcze była w ciąży, martwiła się, że dziecko mało się porusza, więc jako ortodoksyjna Żydówka poszła po radę do rabina, który przyjrząwszy się jej stwierdził: „Twoje dziecko będzie żyło, ale... nigdy nie urośnie”¹. Dziecko urodziło się karłem i do końca życia mierzyło około metra wysokości, mimo że nigdy w rodzinie nie było nikogo z taką anomalią. Rodzice Szymsona: Frida i Lajb Ovitzowie wiedzieli, że syn musi iść zupełnie inną drogą niż zdrowe rodzeństwo, więc zainwestowali w wykształcenie tego bardzo inteligentnego młodego człowieka. Kiedy Szymson dorósł, musiał znaleźć jakieś pocieszenie w swoim kalectwie i odnalazł je w religijnych przepisach halachicznych, według których na widok takiej jak on osoby należy krzyknąć „Chwała niech będzie Bogu, który uczynił tego człowieka tak odmiennym”, wyrażając podziw dla różnorodności Boskiego stworzenia. Jednak studiując pisma sakralne Szymson odkrył, że karły są wykluczone z pewnych rytualnych funkcji, zaś według mądrości ludowej karłowatość jest karą za grzechy. Porzucił zatem studia religijne i poszukał sobie narzeczonej o normalnym wzroście. Miejscowy swat zaproponował mu 18-letnią Branę Gold z sąsiedniej wsi. Dziewczyna wyraziła zgodę, gdyż braki cielesne Szymson rekompensował inteligencją, pobożnością i wykształceniem.

Po ślubie Szymson postawił wykorzystać swoje poczucie humoru, ostry język, talenty aktorskie, a przede wszystkim posturę zawsze budzącą ludzkie zainteresowanie. Został więc badhanem, czyli wodzirejem, mistrzem ceremonii weselnej, który rozbawiał gości zagadkami i historyjkami, znał protokół weselny i miał zdolności organizacyjne. Szymson szybko zdobył renomę najlepszego w okolicy badhana, bo sumiennie przygotowywał się do uroczystości: pisał piosenki i wierszyki oparte na historiach i anegdotach rodzinnych, potrafił gości doprowadzić do łez wzruszenia lub do salw śmiechu, a orkiestrą kierował tak perfekcyjnie, że zabawa trwała do białego rana.

W 1886 roku urodziła się pierwsza córka Szymsona i Brany – Rosika – karliczka; trzy lata potem – Franciszka – również karlego wzrostu. W tym

¹ Y. Koren, E. Negev, *Sercem byliśmy wielcy*, Katowice 2006, s. 9.

czasie Szymson przestał być badhanem, gdyż ludzie wykorzystywali jego wiedzę talmudyczną i prosili o pomoc w rozwiązaniu swoich religijnych problemów. Został więc cenionym w okręgu Maramures wędrownym rabinem, który w kolejnych wioskach wygłaszał kazania i prowadził modlitwy. Charyzmatyczny Szymson udzielał pomocy potrzebującym, opierając się nie tylko na Talmudzie, lecz także na amuletach i zaklęciach i to tak skutecznie, że z jego porad korzystali miejscowi ludzie interesu. Gminy dawały mu nocleg i suto wynagradzały, zaś on inwestował zarobione pieniądze w parcele i nieruchomości, tak że w urzędowych dokumentach po jakimś czasie figurował już jako właściciel ziemski.

Jednak w jego życiu prywatnym zdarzyła się tragedia: w 1901 roku jego 33-letnia żona Brana umarła na gruźlicę, osierocając dwie córki, więc Szymson ożenił się Batją – Bertą Husz, 18-letnią, zdrową dziewczyną o normalnym wzroście. Była ona o niecałe dwa lata starsza od Rosiki – pierwszej córki Ovitza, więc żeby zapobiec złośliwym komentarzom, swaci rozpuścili plotkę, że panna młoda jest dwudziestoczteroletnią starą panną.

Mimo nadziei Szymsona na oszukanie losu z tego związku urodziły się kolejne karzełki: w 1903 roku – Avram, potem Frida, Miki, Elżbieta. Troje dzieci: Sara, Lea i Ariel miało normalny wzrost. 10 stycznia 1921 roku przyszła na świat bohaterka tej opowieści: Piroszka, zwana w jidysz „Perla”, bo była drobna i piękna jak perełka. Dziecko przyszło na świat owinięte pępowiną i położna była przekonana, że dziewczynka nie przeżyje. Batja jednak zażądała podania jej dziecka i kiedy zobaczyła, że ma ono zaciśnięte szczęki, natychmiast je otworzyła palcem. Już jako dorosła kobieta Perla będzie „obwiniac” matkę za to, że nie zamyka się jej buzia.

Rodzinie dobrze się powodziło, miała duży dom z salą modlitw przy głównej ulicy Rozavlei, a w nim dostosowane do małego wzrostu meble; hodowała zwierzęta i uprawiała sad i ogród. Członkowie rodziny o normalnym wzroście musieli dostosować się do karlego rodzeństwa, wykonywali także najcięższe prace: zbierali owoce, doili krowy, dziewczęta piekły własny chleb i robiły przetwory. Batja wychowała córki Szymsona z pierwszego małżeństwa jak własne, więc Perla nie zdawała sobie sprawy, że Rosika i Franciszka miały inną matkę. Szczęście rodziny skończyło się, gdy w 1923 roku nieoczekiwanie umarł Szymszel, który zatrzał się rybami na weselu w odległej wiosce. Na jego grobie – jednym z niewielu zachowanych na żydowskim cmentarzu w Rozavlei – można odczytać napis: „Tu spoczywa uczciwy, cnotliwy i uczony mąż, dobroczyńca biednych, którego wszystkie czyny służyły na chwałę Bogu”².

² Tamże, s. 19.

Batja jako wdowa z dziesięciorgiem dzieci nie miała szans na zamążpójście, więc musiała koordynować życie rodziny, w której 7 pociech było karłami. Rolę głowy domu przejął najstarszy Avram, który poszedłszy w ślady ojca został cenionym mistrzem ceremonii weselnych. Perla zwracała się do niego „tato”, gdyż miała przecież tylko 18 miesięcy, gdy została półsierotą, zaś rodzina chciała jej jak najdłużej oszczędzić bolesnej prawdy.

W rodzinie Ovitzów każdy miał swoje zadania, dziewczęta o normalnym wzroście – Sara i Lea – wykonywały prace niedostępne karłom, ale wszystkie córki dbały o swój wygląd, szyły sobie sukienki i nawet malowały paznokcie. Mimo że najstarszą i najmłodszą siostrę dzieliło 35 lat, miały podobny wzrost i mogły nosić te same rzeczy. Łączyły je głębokie więzi, co często Perla podkreślała:

Jak każde dziecko i ja oczekiwałam, że co roku przybędzie mi kilka centymetrów i wyrosnę jak kwiat. Ale potem, obserwując innych, szybko zdałam sobie sprawę, że nigdy nie będę duża. Ścisły związek z moim rodzeństwem uchronił mnie jednak przed poczuciem niższości i pomógł mi zaakceptować siebie taką, jaką jestem.³

Prace, których karły nie mogły wykonywać, brali na siebie przyjaciele i krewni normalnego wzrostu, między innymi czwórka rodzeństwa Szymsona wraz z rodzinami. Jego młodsi bracia byli uzdolnieni artystycznie, na przykład Łazarz stworzył rodzinną grupę klezmerską, ale dorabiał też handlem końmi. Rosika i Franciszka z pomocą tego wujka nauczyły się gry na skrzypcach i dołączyły do Avrama na jego weselnych występach, urozmaicając je pięknym śpiewem. Trójka karłów szybko stała się atrakcją, więc pozostali z rodzeństwa uczyli się gry na jakimś instrumencie i po skończeniu 16 lat dołączali do rodzinnego zespołu.

Perla już jako dziecko wyróżniała się talentem muzycznym i dobrym głosem („Lekarz, który wynajmował nasz stary dom, stale przekupywał mnie czekoladą, żebym tylko zamknęła buzię”⁴), umiała czytać, zanim poszła do szkoły, gdzie była bardzo lubiana. Nauczyciele i koledzy, żeby oszczędzić jej słabe nogi, nosili ją do szkoły, w zamian ona chętnie dawała odpisać prace domowe. Dzieci odprowadzały ją do domu, nosiły jej książki i odganiały psy, które mogły ją przewrócić. Zazdrościły dziewczynce, że nie musi rozwiązywać zadań na tablicy, bo przecież nie może jej dosięgnąć. Perla nie mogła ćwiczyć na lekcjach gimnastyki, nie wychodziła na przerwy, gdyż bała się, że rozbawieni uczniowie mogą niechcący ją przewrócić.

³ Tamże, s. 23.

⁴ Tamże, s. 24.

W tym samym czasie jej najstarsze siostry: Rosika, Franciszka i Frida wyszły za mąż, co wywołało falę plotek, gdyż ich mężowie byli zdrowymi mężczyznami o normalnym wzroście. „Wieść gminna” uznała zatem, że skusił ich majątek rodziny. Ostatecznie pięcioro z siódemki karłów weszło w związki małżeńskie, wszyscy ze zdrowymi partnerami, którzy wprowadzali się do Ovitzów i włączali w życie lilipuciego klanu. Kilka lat potem Perla także miała wielu wielbicieli i była przekonana, że wyjdzie za mąż: „Mężczyźni nas lubili, ponieważ miałyśmy ładne buzie i nienaganne maniery. Nic sobie nie robili z tego, że byłam mała. Rozmiar i kształt ciała nie świadczą przecież o zdrowiu i płodności. Z nami było jak z pierścionkami. Niektórzy mają duże, ale bezwartościowe kamienie, inni wybierają drobne kamienie szlachetne. A my byłyśmy małe jak diamenty”⁵.

Gdy dziewczynka miała 9 lat, matka – Batja – zmarła na gruźlicę. Przedtem trzy lata była przykuta do łóżka, zaś Perla po powrocie ze szkoły biegła do niej, by pochwalić się, czego się nauczyła. Cierpiała, że nie mogła przytulić się do matki i musiała szybko opuszczać jej pokój, by chora odpoczęła. Batja umierając, zostawiła dzieciom ostatnią radę: „Bądźcie razem na dobre i na złe. Nigdy się nie rozdzielajcie, uważajcie na siebie i życie dla siebie nawzajem”. Musiały zatem nauczyć się czegoś, co pozwoli im wspólnie troszczyć się o utrzymanie, uniknąć izolacji, za to przyniesie akceptację społeczną. Rodzeństwo doszło do wniosku, że jedyna droga to artystyczna kariera, stworzenie własnego show, występy muzyczne i aktorskie, ale nie na weselach, gdyż byłoby to ponad fizyczne siły karłów. Perla stwierdziła po latach, że na pewno nie zdecydowaliby się na pracę w cyrku czy wioskach liliputów: „Nigdy nie chcieliśmy zarabiać pieniędzy obnoszeniem się z naszym kalectwem. Chcieliśmy zawsze, by ludzie brali nas na serio, traktując jak profesjonalnych aktorów i muzyków”⁶. Dlatego postanowili rozpocząć karierę artystyczną pod szyldem „Trupa Liliputów”. Wtedy nikt z nich nie przypuszczał, że poznają smak sukcesu, ale także panicznego strachu, gdy za kilka lat trafią do osławionego obozu w Oświęcimiu pod skrzydła anioła śmierci – Josefa Mengele.

Avram Ovitz napisał gagi i dialogi oraz wybrał oprawę muzyczną: piosenki miłosne i regionalne szlagiery. Dwugodzinny program wywoływał u widzów skrajne uczucia, bo rzewne piosenki miłosne śpiewane w pięciu językach przeplatane były dowcipami i arcyzabawnymi improwizacjami. Ovitzowie byli chasydami, więc ich religijnym obowiązkiem było służenie Bogu muzyką, śpiewem i tańcem. Każdy z rodzeństwa miał swoje artystyczne emploi: Rosika

⁵ Tamże, s. 26

⁶ Tamże, s. 35.

i Franciszka grały na maleńkich skrzypcach, Frida – na cymbałach, Miki – na zmniejszonej o połowę wiolonczeli i akordeonie, zaś Elżbieta na perkusji. Perla grała na maleńkiej różowej gitarce z czterema strunami. Avram był mistrzem ceremonii, wykonawcą piosenek i aktorem, a poza sceną dbał o zawierane kontrakty i interesy rodziny.

Na zachowanych fotografiach widać, że Ovitzowie dbali o kostiumy, siostry szyły sobie luksusowe stroje w mocnych, wesołych kolorach, z falbankami, koronkami i cekinami. Problemem były fryzury, bo wszystkie ortodoksyjne męzdatki goliły sobie głowy, jednak karły miały szczególne przywileje, a że teatr był jedynym źródłem utrzymania rodziny Ovitzów, gmina zaakceptowała ich wygląd, a także to, że Avram i Miki nie nosili na scenie jarmułek. W czasie przedstawień część rodziny o normalnym wzroście pomagała za kulisami: Sara była garderobianą, mąż Fridy odpowiadał za konstrukcję sceny i transport, Lea zostawała w domu i doglądała gospodarstwa. Jedynie Ariel wybrał inną drogę życia: założył mały zakład krawiecki w mieście Statu-Mare.

W latach 1931–1940 rodzina Ovitzów była wciąż w wyjazdach, na coraz dłuższych i dalszych tournée. Najpierw wozem konnym stałego współpracownika Szymona Slomowitza (dawny asystent i woźnica Szymoszona Ejzika) dostawała się do odległego o 35 km miastem Sighet, skąd dalej podróżowano pociągiem. Pierwsze występy dawali w rodzinnych stronach – w okręgu Maramures, biednym i zapomnianym regionie. Wypisane ręcznie plakaty zawiadamiały mieszkańców wsi o przybyciu trupy karłów, zaś występy artystów cieszyły się niezwykłą popularnością. Szybko Ovitzowie zaczęli gościć w miejskich salach teatralnych i kinowych całej Rumunii, a potem Węgier i Czechosłowacji. Podczas kilkutygodniowego tournée zatrzymywali się na parę dni w jednym z miast i codziennie dawali po dwa, trzy występy, zawsze przed kompletem widzów. Posługiwali się biegle kilkoma językami: węgierskim, rumuńskim, niemieckim i jidysz, w kilku kolejnych potrafili śpiewać. Dostosowywali swój program do danej publiczności, kraju i wydarzenia (lokalne święta, jarmarki), więc każda piosenka wywoływała burzę oklasków, aż Avram musiał prosić o spokój.

Po każdym występie Ovitzów obsypywano kwiatami, a nawet pieniędzmi rzucanymi na scenę, co raz o mało nie zakończyło się dla Perli urazem. Gdy kłaniała się po występie, coś twardego uderzyło ją w klatkę piersiową, aż o mało się nie przewróciła. Owym przedmiotem okazał się banknot obciążony kamieniem, więc od tego czasu proszono publiczność, by ograniczała okazywanie zachwyty i składała z przodu sceny swoje prezenty: bukiety kwiatów, monety, czekolady i perfumy. W ramach podziękowania dla publiczności Ovitzowie wydrukowali karty ze zdjęciem całej siódemki z napisem „Souvenir Trupy Liliputów”, które rozdawali po przedstawieniu. Byli także zapraszani

przez zamożnych Żydów do domu, obdarowywani prezentami i częstowani koszernymi przysmakami. Mimo pokus słodkiego życia nigdy ci artyści nie byli cyganerią: nie pili, nie włóczyli z wielbicielami po knajpach i zaraz po przedstawieniu wracali do hotelu. Siostry Ovitz miały jedynie słabość do kupowania kosmetyków i materiałów na swoje stroje.

Życie w drodze było dla Ovitzów skrajnie wyczerpujące, bo bez pomocy nie mogli normalnie funkcjonować: ktoś musiał podsadzać ich do wagonu, pomóc wejść na krzesło w restauracji, czy po schodach w hotelu. Gdy byli w domu, wprawiali sąsiadów w zachwyt opowieściami o „wielkim świecie”, ale przede wszystkim przygotowywali się do kolejnych koncertów. Jako pierwsi w okolicy mieli radio, więc uzupełniali repertuar piosenkami usłyszanymi w eterze, uczyli się ze słuchu i intonowali utwór na swoich instrumentach muzycznych. Dzięki ciężkiej pracy mieli nie tylko pierwszy we wsi odbiornik radiowy, ale nawet włoski samochód mogący pomieścić całą grupę wraz z instrumentami. Wiele lat potem mieszkańcy Rozaveli wspominali, jak sąsiedzi karłów sprzeczały się o przywilej mycia i polerowania tego cudeńka.

Kariera i szczęśliwe życie Ovitzów zaczęły się zmieniać w 1940 roku, gdy Węgry zażądały od Rumunii zwrotu Transylwanii. Szybko wprowadzono antyżydowską politykę: wstrzymano druk żydowskich gazet, zamknięto stowarzyszenia, wyrzucono Żydów ze szkół średnich i uniwersytetów. Urzędnicy, lekarze i prawnicy stracili pracę. Ovitzowie zaś mogli występować tylko przed żydowską publicznością, która już nie miała pieniędzy ani nastroju do śpiewów. W Budapeszcie udało im się zdobyć węgierskie dowody osobiste bez wpisu uwagi „Żydzi” – tak otumanili urzędników bajkową inwazją do biura siedmiu wystrojonych karłów, paplaniną, plakatami i reklamówkami. Przez kolejne 4 lata występowali z fałszywą tożsamością, w ciągłym strachu przed aresztowaniem z powodu brakującej w dowodzie pieczętki. Nigdy publicznie nie mówili w jidysz i ciągle się mieli na baczności. Tożsamość „nie-Żydów” powodowała także problemy religijne. Gdy występ miał odbyć się w szabas, ktoś z trupy brał zwolnienie lekarskie i odpowiednie zaświadczenie, przepraszano publiczność i proponowano dodatkowe niedzielne przedstawienie. Jedynie w domu mogli czuć się bezpiecznie, mimo że wyróżniali się z otoczenia: Ovitzowie chodzili ubrani według najnowszej mody w miejskie stroje, delikatne ubrania w kwieciste wzory i czarne lakierki. Kobiety jako jedyne w wiosce miały pomalowane paznokcie, uszmkowane usta, upudrowane policzki czy pociągnięte tuszem rzęsy. „Byli tacy piękni, delikatni i pachnący, jak elegancie lalki” – wspominała po latach ich sąsiadka⁷.

⁷ Tamże, s. 50.

Represje wobec Żydów węgierskich rozpoczęły się w sierpniu 1941 roku, kiedy w Kamieńcu Podolskim dokonano egzekucji ponad 23 tysięcy osób. Od tego samego roku mężczyźni w wieku 18-48 lat byli przymusowo wcielani do pomocniczych jednostek armii węgierskiej. W krótkim czasie rodzina Ovit-zów straciła wtedy czterech mężczyzn: Ariela (zostawił ciężarną żonę Magdę), świeżo poślubionego męża Lei (nie zobaczył nawet pierworodnego syna), Izo – męża Fridy i Mosze Moskowitza, który po 10 dniach małżeństwa musiał opuścić Elżbietę. Reszta rodziny musiała dalej występować, by mieć źródło dochodów, dlatego w marcu 1944 roku znaleźli się w węgierskim mieście Szolnok. Tam zastało ich wkroczenie Wehrmachtu, więc Ovit-zowie gorączkowo opuścił hotel i próbowali wydostać się z miasta pociągiem. Na dworcu tylko dzięki kokieterii i urokowi Elżbiety udało się im wymusić w okienku bilety na jedyne połączenie z Rozavleą. Na peronie zaś trupa artystów przeżyła chwilę grozy, gdy jeden z patroli niemieckich zagroził im drogę. Na szczęście okazało się, że żołnierzy nie interesują dokumenty (bez pieczętki „Żydzi”), lecz niepospolity wygląd artystów. Z niezwykłą przytomnością umysłu Ovit-zowie weszli w swoją rolę: Avram opowiedział soczysty dowcip, a nawet zaprosił żandarmów na następne przedstawienie, a zauroczeni Niemcy nie tylko eskortowali rodzinę do pociągu, lecz nawet pomogli jej dostać się do wagonu.

Nowy, radykalnie faszystowski rząd Węgier pałał coraz silniejszą chęcią „oczyszczenia” kraju z Żydów, więc codziennie ogłaszano nowe dekrety: każda osoba powyżej 6 roku życia musiała nosić żółtą gwiazdę Dawida, żaden starozakonny nie mógł opuszczać swojego miejsca zamieszkania itd. Ovit-zowie bali się występować nawet w najbliższym sąsiedztwie Rozavlei. Nie mieli możliwości ukrycia swego majątku gdzieś poza posesją, więc biżuterię zakopali w puszcze pod nieużywanym od dwóch lat samochodem. Odważyli się także ukryć swoje radio i potajemnie słuchali wiadomości, mając nadzieję, że usłyszą o niemieckiej porażce. Władze szybko wpadły na trop odbiornika i tylko cudem Ovit-zowie nie zostali ukarani. Już 15 kwietnia 1944 roku usłyszeli głos z megafonu nakazujący wszystkim Żydom spakowanie się i stawienie w synagodze. Rodzina karłów miała nadzieję, że na przesiedleniu czy nawet w obozie pracy będzie mogła występować, więc zabrano ze sobą lepsze instrumenty, lepsze kostiumy sceniczne, zestawy do makijażu. W wiejskiej synagodze stłoczono 650 Żydów z bagażami, więc panował tak niezwykły tłok, smród i zaduch, że najstarsze siostry Ovit-z zemdlały. Nieoczekiwanie żandarmi pozwolili rodzinie wrócić do domu po to jednak, by wieczorem przyjść i żądać występu. Ovit-zowie bali się pijanych, uzbrojonych i agresywnych żandarmów, więc ustawili instrumenty w kąciку pokoju, śpiewali i grali to, co życzyła sobie rozpasana tłuszczka...

Tydzień później Żydów z Rozavlei i sąsiednich wiosek spędzono do getta w Dragomiresti. Ovitzowie znaleźli przytulisko w domu przyjaciela rodziny. Codziennie na pół godziny można było wyjść i zrobić zakupy, więc Lea, Sara i szwagierka Dora same załatwiały sprawunki dla lilipuciej części rodziny. Tak było do maja 1944 roku, kiedy nastąpiła likwidacja getta. Także wtedy rodzina karłów wzbudziła wielkie zainteresowanie nawet fotografa dokumentującego exodus Żydów z Dragomiresti, który zdjęcia Ovitzów opublikował w gazecie z podpisem „Żydowskie karły w getcie”. Lilipuci jechali na furmance, zaś wysokiej Sarze żandarm kazał iść piechotą, lecz siostry w panice z płaczem ubłagały go, tłumacząc, że bez niej są zupełnie bezradne. Strażnik ulitował się i pozwolił Sarze dołączyć do rodziny.

Po 9 godzinach marszu okradana po drodze przez miejscową ludność kolumna Żydów dotarła na stację kolejową. W niezwykłym rozgardiaszu karły kurczowo trzymały się bagaży, starając się chronić przed zrozpaczonymi ludźmi, którzy wpadali na nich i pchali w kierunku pociągu. W tej tragicznej sytuacji pomógł im Szymon Slomowitz, który wraz z rodziną otoczył pracodawców, pomógł im dostać się do bydłęcego wagonu, gdzie wspólnie zajęli kącik. Karły były jedynymi dorosłymi pasażerami, którzy mogli całą drogę kucać na skrawku podłogi, ale nie mieli szansy, by dotarła do nich choć niewielka ilość świeżego powietrza, więc co rusz tracili przytomność. Także wiadro do załatwiania potrzeb fizjologicznych było dla nich problemem, więc jakaś kobieta zlitowała się nad nimi i pozwoliła korzystać nocnika swego dziecka. W śmierdzącym i ciemnym wagonie spędzili trzy doby, gdyż bali się wyjść podczas krótkich przystanków w podróży. Podróż, która skończyła się w Oświęcimiu...

Na rampie osławionego obozu śmierci w tłumie zrozpaczonych ludzi 7 karłów trzymało się razem, zaś normalnego wzrostu siostry: Sara, Lea, szwagierka Dora wraz z dziećmi starały się tak ustawić wokół nich, żeby ich ochronić przed zgnieceniem. Dołączyła do nich nawet żona wieloletniego asystenta i kierowcy Ovitzów Chaja Slomowitz, której cudem udało się przekonać niemieckiego oficera o zgodę na to, by tej mąż i syn – już oddzieleni w grupie mężczyzn – mogli wrócić do niej i reszty dzieci. Wszyscy udawali, że są rodziną i trzymali się razem w dwudziestoosobowej grupie pilnowanej przez grupę żołnierzy. Miki Ovitz posunął się nawet do tego, że zaczął rozdawać oniemiałym esesmanom pocztówki z napisem „Souvenir Trupy Liliputów”. Dwie sąsiadki z Rozavlei przystały, by przyjrzeć się tej surrealistycznej scenie, a wtedy rozbawiony oficer zapytał, czy one też należą do rodziny. Zanim kobiety zareagowały, Miki oświadczył, że jeszcze nie, ale wkrótce tak, bo ta młodsza jest jego narzeczoną. Dołączono więc do grupki kolejne dwie osoby

i w tym gronie Ovitzowie czekali na rano 19 maja 1944 roku, patrzyli na sąsiadów i nieznajomych, którzy szli w kierunku kominów wypływających płomień i dym. Perla zapytała więźnia o ten widok i usłyszała: „Nie wiesz, gdzie jesteś? To nie piekarnia, to Auschwitz, Keve Yisroel – grób Izabela, i ty też wkrótce skończysz w piecu!”⁸.

Niemcy pozwolili zostać Ovitzom na rampie, gdyż wiedzieli, że mali ludzie są obiektem zainteresowania doktora z piekła rodem – Josefa Mengele. Ovitzowie byli dla niego cennym nabytkiem, gdyż miał do badań całą rodzinę, więc powiadomiony o ich przybyciu wstał w środku nocy, by ich zobaczyć – i wpadł w euforię, wypytywał o wzrost i drzewo genealogiczne. Przybywszy zabrano do łaźni, kazano się rozebrać nie zważając, że nie wolno ortodoksyjnym Żydom tego czynić. Jednak ze strachu, odwracając od siebie oczy, zdjęli ubrania, a potem przeszli do drugiego pomieszczenia:

Spojrzelismy na sufit, żeby zobaczyć, dlaczego nie leci woda. Nagle poczuliśmy gaz. Łapczywie łapaliśmy powietrze, kilkoro z nas straciło przytomność. U kresu sił zaczęliśmy krzyczeć. Potem usłyszeliśmy wściekły głos na zewnątrz: Gdzie jest moja rodzina karłów? Otworzono drzwi i ujrzelismy stojącego tam doktora Mengele. Polecił żołnierzom postawić nas na nogi zimną wodą⁹.

Najprawdopodobniej jednak karły trafiły nie do komory gazowej, lecz do sauny celem dezynfekcji. Skrajnie wysoka temperatura i gryzący dym sprawiły, że więźniowie tracili przytomność, zaś to traumatyczne przeżycie utrwaliło im się w pamięci jako początek zagazowywania.

Na rozkaz Mengelego nie byli przegonieni do pomieszczenia z lodowatym prysznicem, nikt ich nie bił, nie sprawdzał otworów ciała w poszukiwaniu złota, dostali nawet własne ubrania. Zostali umieszczeni w „obozie familijnym”, utworzonym w 1943 roku dla Żydów z getta w Terezynie i mimo ściśle przestrzeganej zasady o rozdzielaniu osób odmiennej płci (nawet trzyletnich bliźniąt trzymanyh jako obiekty eksperymentów medycznych) Ovitzom pozwolono tam mieszkać całą rodziną. Jednak nawet Mengele nie mógł zwolnić ich z obowiązku wykonania tatuażu, więc oznaczono najpierw mężczyzn, a potem kobiety (Niemcy nie wiedzieli, że tak naprawdę grupę tworzą trzy rodziny: Ovitzów, Slomowiczów i dwie kobiety Fischmann – sąsiadki z Rozavlei).

W porównaniu z warunkami życia innych więźniów rodzina Ovitzów miała znośną sytuację: zamieszkała w pomieszczeniu przeznaczonym dla blokowych, każdy miał na pryczy koc, poduszkę i prześcieradło, nosili swoje ubra-

⁸ Tamże, s. 67.

⁹ Tamże, s. 73.

nia, które często prali wiedząc, że nie dostaną nowych, sami naprawiali buty. Kiedy jednak obuwie się rozpadło, zaprowadzono ich do „kanady” i z hańd bagaży zabranych zamordowanym ludziom pozwolono wybrać sobie potrzebne rzeczy. Mengele zwolnił swoje karły z codziennych apeli, więc były liczone w baraku. Ze względów bezpieczeństwa dostały także własny nocnik i miednicę do mycia, bo w sanitariatach dla zwykłych więźniów zostałyby zdeptane. Takie przywileje nie były dowodem jego humanitaryzmu, lecz zaledwie dbania o materiał doświadczalny, na przykład karły nie musiały golić włosów, bo były one potrzebne do badań, a SS-mani wiedzieli, że nie mogą skrzywdzić tych małych ludzi. Jedzenie dostawały jednak takie, jak inni więźniowie: wodnistą zupę, namiastkę kawy, ugotowane buraki pastewne itd. Perla wspominała, że „Kiedy raz nam rozdali zupę, widziałam pełzające w misce robaki. Można też było znaleźć kawałki szkła, guziki i rzeczy takie jak żaby i palce dzieci”¹⁰.

Ciemną stroną „względów”, jakimi cieszyli się Ovitziowie, były badania, którym ich poddawał Mengele. Wymagał od karłów bezwzględnej czystości, więc siostry codziennie nawzajem szorowały się w misce, starannie się ubierały, malowały twarze i usta, jakby ta maska dawała złudne poczucie normalności, za którą można się skryć. Co kilka dni pobierano karłom krew, a w przeddzień musieli pościć. Tracili stosunkowo dużo krwi, co w połączeniu z osłabieniem przez głód doprowadzało ich do omdleń. W takich sytuacjach kładziono ich na pryczy, pozwalano dojść do siebie, a potem kontynuowano pobieranie próbek. Perli i jej siostram często robiło się niedobrze, wymiotowały, ale po krótkim odpoczynku w baraku znów wzywano je na kolejne testy. Mengele miał obsesję na punkcie badań krwi, którą uważał za medium przenoszenia informacji genetycznej, dlatego ciągle badał krew Ovitziów, próbując odkryć, jak to możliwe, że dwie duże matki i ojciec – karzeł wydali na świat tak dużą liczbę liliputów. Szczególnie interesował go czternastomiesięczny Szymson Ovitzi (synek Lei), którego rodzice byli normalnego wzrostu, ale matka miała ojca karła i siedmioro lilipuciego rodzeństwa. Josef Mengele zlecał pobieranie mu krwi z palca i uszu, bo żyły dziecka były za cienkie. Maluch wracał z badań cały posiniaczony, osłabiony tak, że często mdlał. Karłom – także dzieciom – robiono też testy mające wykryć syfilis, ale zawsze wychodziły negatywnie.

W czerwcu 1944 roku Perla i jej 3 siostry pewnego dnia były 7 razy prześwietlane rentgenem, bo potrzebny był obraz całego ich ciała. Mengele wykorzystywał także tradycyjne zdjęcia wykonywane przez polskiego więźnia Wilhelma Brosse. Fotograf zaczął od normalnych ujęć: z przodu, boku

¹⁰ Tamże, s. 80.

i tyłu, następnie sfotografował ich dłonie i stopy. Karlice wstydziły się swojej nagości, dlatego Brosse starał się ułatwić im przetrwanie tej sytuacji: mówił łagodnym głosem, tłumaczył się, że sam jest bezsilny i musi wykonywać polecenia Mengele. W podobnej sytuacji była przymusowa asystentka doktora – antropolog Martyna Puzynina, która musiała dokonywać wciąż tych samych pomiarów mimo że karły przecież nie rosły! Czasem całymi godzinami przesiadywały nago w nieogrzewanym pomieszczeniu, ale zwykle były odprężone, bo wiedziały, że Polka nie zada im bólu. Sam doktor Mengele szukał śladów dziedziczenia we włosach, skórze, zębach. Karlice przywiązywano do stołu i poddawano badaniom ginekologicznym. Perla zaś była poddawana bezsensownym doświadczeniom: wlewano jej do uszu wrzątek, potem lodowatą wodę. Ponadto całą rodzinę zdręczano niekończącymi się pytaniami o pochodzenie i historię rodu, tak że wielokrotnie Ovitzowie powtarzali historię swego ojca i jego żon, wszystkich ciotek i kuzynów.

Mengele zrobił im także testy na inteligencję i był zadziwiony wrodzonym dowcipem i wiedzą swych małych „królików doświadczalnych”. Perla tak wspominała relacje karliczek z niemieckim doktorem:

W jego obecności nakładaliśmy uśmiechnięte maski, ale wewnętrznie drżeliśmy jak liście osiki. Nigdy nie daliśmy się zwiść jego łaskawości. Jeśli nawet doktor Mengele twierdził, że dopóki z nim jesteśmy, nie trafimy na drugą stronę, nie dawało nam to poczucia bezpieczeństwa, wręcz przeciwnie. Mówił często: „mam z wami zajęcia na dwadzieścia lat”, ale to też nie dawało poczucia ulgi – nie mieliśmy żadnej gwarancji, że zatrzyma nas przy życiu. Mógłby niedługo dokończyć swoje testy i wrzucić nas do ognia, a potem latami analizować ich wyniki¹¹.

Po zlikwidowaniu obozu rodzinnego karły straciły zakwaterowanie i musiały zostać rozdzielone: kobiety z małym Szymsonem trafiły do obozu kobiecego, zaś Avram, Miki i Slomowitzowie zamieszkali w szpitalu dla więźniów. Jak na bogobojnych Żydów przystało Ovitzowie często się modlili: bracia przemycili tańs i tefilin, zaś siostry wyszarpywały nitki z prześcieradeł i z kawałkiem wosku zagniatały na świece szabasowe. Były w tej szczęśliwej sytuacji, że mogły wykorzystywać swoje zdolności do zdobycia dodatkowego jedzenia. Kiedyś szefowa kuchni wzięła do siebie Elżbietę i kazała jej śpiewać, a potem, wzruszona, podarowała karliczce wielki skarb: główkę czosnku, kawałek chleba i ziemniak.

We wrześniu 1944 roku Mengele przyniósł Perli i jej siostrą pakunek z kosmetykami i zapowiedział, że wystąpią przed ważnymi gośćmi. Karlice przećwiczyły swój repertuar, ze skromnej garderoby wybrały najlepsze sukienki,

¹¹ Tamże, s. 134.

perfekcyjnie umalowały się jak dawniej. Nazajutrz okazało się, że Mengele zaplanował dla nich nie występ teatralny, lecz zupełnie inny. Na miejsce pojechały w towarzystwie braci-karłów oraz pozostałych członków rodziny, wraz z Słomowitzami. Przy szczelnie wypełnionej sali nie oczekiwano ich występu, wręcz przeciwnie: musiały się rozebrać, podobnie jak ich krewni, a Mengele omawiając przed kolegami naukowcami wyniki swoich badań, kijem bilardowym dotykał części ciała Ovitzów:

Cała procedura była poniżająca, męcząca i trwała całą wieczność – ledwo mogliśmy utrzymać się na nogach. Było gorąco i byliśmy mokrzy od potu i wstydu, jednak nikt nie zaproponował nam szklanki wody¹².

Po pokazie wielu oficerów-lekarzy bezczelnie z bliska oglądało karły, dotykało ich ciała, zadawało wulgarnie pytania na przykład o życie małżeńskie. Sam Mengele także był fanatycznie zainteresowany seksualnością karłów, więc kobiety bardzo się bały, że zmusi je do kontaktów z mężczyznami-liliputami, by sprawdzić, jakie dzieci się urodzą. Już wcześniej Dorę – żonę Avrama – w wulgarny sposób wypytywał o intymne szczegóły jej życia z mężem liliputem, nie zważając, że słucha tego córka kobiety i cały barak. Josef Mengele traktował karliczki jak dziwolągi, którymi może zaimponować kolegom, ale do tej pory „pokazy” odbywały się w jego gabinecie. Chwalił się wówczas, że ma całą rodzinę „lalek”, ale – w odróżnieniu od dziecięcych zabawek – prawdziwych. O wspomnianym „pokazie” w większym gronie mówił także Szymoszon Ovitz, opierając się na relacjach członków rodziny. Zapamiętali oni, że jeden z oficerów zbliżył się do matki chłopczyka i dotknął jej nagich piersi. Wtedy maluszek wyciągnął rączkę i pociągnął za swastykę na kieszeni munduru. Znaczek spadł, matka chłopca wpadła w panikę, zaczęła płakać, przekonana, że zaraz Niemiec zastrzeli ją i dziecko. Schyliła się po swastykę, ale oficer uspokoił ją: „Proszę się nie bać, to tylko dziecko, nie wie, co robi”¹³, sam podniósł znaczek, ale karły i reszta rodziny uspokoiły się, gdy wyszedł z pomieszczenia.

Perla Ovitz i jej siostry stanowiły wielką atrakcję w obozie kobiecym. Już sam widok liliputek ciągnących ze sobą stołeczki, a potem wygrzewających się na słońcu, sprawiał, że więźniowie chcieli choć popatrzeć na te istotki. Dawny znajomy z okręgu Maramures – Ibbi Mann – wspominał, że przed wojną jego rodzice zaprosili Ovitzów na kolację po występie. Matka podarowała siostrąm piękny materiał na stroje sceniczne, wiedząc, że są świetnymi krawcowymi.

¹² Tamże, s. 119.

¹³ Tamże, s. 122.

Już w Auschwitzu Mann skontaktował się z karlicami i okazało się, że nie tylko pamiętały tamtą kolację, ale miały ze sobą sukienkę uszytą z podarowanego materiału. Do kompletu był jeszcze szal, który podarowały chłopcu. Była to dla niego jedyna pamiątka po matce... Inni więźniowie pamiętali także to, czemu Perla Ovitz stanowczo zaprzeczała: karły występowały na prywatnych uroczystościach kapo czy esesmanów. Zapewne nie miały możliwości odmówienia występów w „nocnym życiu Birkenau”, ale musiała to być bardzo bolesna karta wspomnień, skoro karliczki chciały wyprzeć ją z pamięci. Podobnie było z koncertem w dniu 30 czerwca 1944 roku, kiedy przypadał dzień postu przypominający o zburzeniu świątyni jerozolimskiej. Mengele zorganizował szczególny pokaz, który tak wspominała jedna z kobiet grających w obozowej orkiestrze:

Mengele ręką daje rozkaz i już karły wkraczają na arenę, która zapełnia się tańczącymi liliputami. Niektóre pary kręcą się rytmicznie w koło, inne, lekko się kołysząc, stoją w miejscu, wygląda to groteskowo i ściska serce (...) Te stworzenia wydają z siebie okrzyki radości, próbują śpiewać z nami (...). Ich małe, słabe głosiki skrzeczą. Orkiestra zaczyna marsza, wtórują jej klaskaniem i tupaniem. Około pięćdziesięciu mięsistych, ustrojonych pierścieniami dłoni z grzechoczącymi bransoletami klaszcze, drobne tupiące stópki... (...) Esesmańska publiczność wybucha śmiechem. Ten śmiech, nasza muzyka, karły i ich maskarada miały w sobie coś tak przerażającego, że dziewczęta trzęsły się ze strachu¹⁴.

Perla Ovitz stanowczo utrzymywała, że Mengele zabrał jej rodzinę na ten koncert, ale że nikt z nich nie wychodził na scenę, tylko wszyscy siedzieli na stołeczkach wśród publiczności. Można przypuszczać, że wypieranie się takich historii wynikało z faktu, że dla pobożnych Owitzów występy w Auschwitzu były profanacją, „radosną uroczystością” na cmentarzu milionów zagazowanych i spalonych ludzi, a fakt, że robili to pod przymusem, nie zmniejszał ich wstydu. „Bolesne przyznanie się, że bawili nazistów, podczas gdy z kominów nie przestawał wydobywać się dym, utrudniał być może dodatkowo fakt obscenicznego charakteru obozowych fet”¹⁵.

W styczniu 1945 roku część więźniów Oświęcimia Niemcy wywieźli do innych obozów. W osławiony „marsz śmierci” wyruszyło około 58 tysięcy osób, które brnąc przez śnieg przez 25 kilometrów miały dotrzeć do stacji kolejowej. Szymon Słomowitz nie chciał zostawić Avrama i Mikięgo Owitzów, więc mimo że on i jego synowie daliby radę przejść ten dystans, nie zdecydował się na opuszczenie karłów i został z nimi w baraku. W zamieszaniu pa-

¹⁴ Tamże, s. 140.

¹⁵ Tamże, s. 143.

nującym w obozie udało się tym mężczyznom przejść do obozu kobiecego, do Perli i pozostałych siostr i żon. 27 stycznia 1945 roku Rosjanie wyzwolili Oświęcim, a Trupa Liliputów musiała występować dla żołnierzy, grając na prowizorycznych instrumentach i śpiewając znane sobie rosyjskie piosenki. Jednak Ovitzowie i ich krewni chcieli jak najszybciej wydostać się z obozu, więc na wózkach do chleba umieszczono karlice, dzieci i kilka rzeczy, a osoby o normalnym wzroście pchały i ciągnęły ów zaprzęg. Po kilku kilometrach grupa utknęła nad rzeką, bo most Niemcy wysadzili w powietrze, więc Szymon Slomowitz wziął na ręce najcięższego Avrama przeniósł go po łodzie na drugi brzeg, a potem wrócił po kolejnego karła. Sara niosła jedną ze swoich siostr, a następnie szczęśliwie przetransportowano wózek z rzeczami. Mijający grupkę uciekinierów Rosjanie rzucali im z samochodów wódkę i chleb, zaś jeden z oficerów – poruszony losem byłych więźniów – podarował im konia i skierował do Krakowa, co dawało nadzieję na powrót pociągiem do Rozawlei.

W Krakowie Rosjanie umieścili Trupę Liliputów w hotelu: „Traktowali nas dobrze i spełniali każde nasze życzenie. Urządzili bal zwycięstwa i poprosili nas, byśmy na nim zaśpiewali. Prawie rok minął od naszego ostatniego koncertu, ale byliśmy w dobrej formie i nagrodzono nas burzliwymi oklaskami. Od tej chwili występowaliśmy na każdych urodzinach i innych świętach”¹⁶.

Po kilku tygodniach Ovitzowie nabrali sił i posłuchali rady, by wrócić na zachód i stamtąd dostać się na pociąg do Rumunii, więc w kwietniu znaleźli się tylko parę godzin jazdy od rodzinnej wsi, w miasteczku Czernowitz, ale nie mogli wydostać się z tego miejsca pod rosyjską okupacją. Rosjanie dobrze traktowali karły, ale Ovitzowie sami musieli zarabiać na siebie, więc dawali koncerty pod gołym niebem. Doskonale znali swą dawną publiczność i jej ulubione szlagiery, dlatego cieszyli się wysokimi datkami. Dopiero jednak pod koniec sierpnia 1945 roku rodzina wróciła do ukochanej wioski. Tam zastali splądrowany dom, w którym ocalały tylko mebelki dostosowane do wzrostu karłów, więc nikt inny nie mógł ich używać. Sprzęty i wyposażenie rozkradziono lub zniszczono, z gospodarstwa znikły zwierzęta, zaś ogród zarósł chwastami. Na szczęście sąsiedzi nie odkryli skrytki pod starym samochodem, więc ocalała rodzinna biżuteria i złoto. Niestety, Ovitzowie usłyszeli także złe wiadomości: ich brat Ariel został rozstrzelany, jego żonę i dziecko zamordowano w Oświęcimiu, mąż Fridy umarł z głodu w łagrze na Uralu.

Rodzina karłów zabrała się do porządkowania domu i urządzania go resztkami dawnych sprzętów. Pewnego wieczora byli więźniowie rozpalili ognisko, w którym spalili swoje ubrania z Birkenau, wiedząc, że wspomnień

¹⁶ Tamże, s. 170.

z „fabryki śmierci” nie da się tak łatwo wymazać z pamięci. Ponadto coraz częściej przekonywali się, że w Rozavlei nie ma dla nich miejsca:

Kiedy chcieliśmy odzyskać naszą własność, bydło i jakieś nasze rzeczy, nasi sąsiedzi nie chcieli nam ich oddać. (...) Nie kryli swojej wrogości: Obchodziliśmy się bez was, po co wróciliście? Odparłam: To była Boża Wola, że ocaliliśmy. Przestraszyło mnie to powitanie. Rozavlea stała się cmentarzem. Cisza opustoszałych domów, głucha i ciemna synagoga, brakujące twarze na ulicach, to wszystko było nie do zniesienia¹⁷.

Rodzina przeniosła się do Sighetu, dokupiła instrumenty, by znów występować, jednak okazało się, że nie mają dawnej publiczności: ocaleni Żydzi byli zbyt biedni i nieliczni, zaś okoliczna ludność także ucierpiała przez wojnę, więc Trupa Liliputów nie mogła zarabiać na swoje utrzymanie. Ovitzwowie postanowili wyemigrować do Belgii, jedyne go kraju gotowego wydać im wizy. Oczywiście towarzyszyli im Słomowitzowie, którzy w Antwerpii wynajęli lokum naprzeciwko mieszkania karłów. Sąsiadami rodziny była bezdzietna para katolików, dla których Perla była oczkiem w głowie. Ludzie ci byli właścicielami sklepiku owocowo-warzywnego i za każdym razem, kiedy karliczka przychodziła, sklepikarz kazał jej wybierać to, na co ma ochotę, tylko prosił, żeby zasłaniała wytatuowany numer: „Nie mogę znieść tego ciągłego przypominania sobie, co wam zrobili”¹⁸ – powtarzał. Ostatecznie jednak rodzina postanowiła zakończyć swą tułaczkę i zamieszkać między swoimi – w Izraelu.

9 maja 1949 roku na nabrzeże portu w Hajfie zesłała grupka liliputów, którzy od razu wzbudziła zainteresowanie miejscowej dziennikarki. Lea Ginzburg-Fried przeprowadziła z nimi wywiad ukazujący niezwykle historię rodziny artystów: od przedwojennej kariery po piekło Oświęcimia. Podkreśliła, że misją przybyszy było wniesienie radości w życie nowej ojczyzny. Ich nowa kariera zaczęła się 4 sierpnia tego samego roku, kiedy trupa zainicjowała sześciotygodniowe tournée z czterdziestoma występami. Grano dwa razy dziennie, zawsze przy wypełnionej sali, bo dla imigrantów piosenki i skecze Ovitzwów były nie tylko podróżą w czasie do nieistniejącego już świata, ale powrotem do ludzi, którzy nagle znikli w dymach obozów koncentracyjnych. Pod opieką profesjonalnego dyrektora przygotowali nowy program, w którym Perla miała wiele nowych ról, jednak po 4 latach mały izraelski rynek wyczerpał się i Trupa Liliputów straciła siłę przyciągania. W 1955 roku pożegnała się ze sceną i objęła zarząd nad kompleksem kinowym. Członkowie rodziny zamieszkali w oddzielnych lokalach, ale wciąż trzymali się razem: Avram był menadżerem,

¹⁷ Tamże, s. 177.

¹⁸ Tamże, s. 181.

Elżbieta wybierała filmy, Miki obsługiwał projektor, a Perla sprzedawała bilety. Wciąż marzyła o założeniu rodziny i miała nawet kilku wielbicieli. Pewnego rzeźnika odrzuciła, bo miał brodę, znajomego jeszcze z Transylwanii także, bo był komunistą. Z kelnerem o imieniu Jonel o mało nie stanęła pod ślubnym baldachimem, ale do mariażu nie doszło, gdy niedoszły pan młody wygadał się, że zależy mu tylko na majątku karłów.

Już jako starsza pani Perla Ovitiz chętnie spotykała się z młodzieżą w dniu pamięci ofiar Holocaustu, przyjmowała studentów piszących pracę na ten temat, opowiadała im historię rodziny: „W Auschwitz przyrzekłam sobie, że jeśli Bóg pozostawi mnie przy życiu, to wciąż będę opowiadać moją historię, do ostatniego tchnienia, tak żeby nikt nie mógł powiedzieć, że nic się nie wydarzyło”¹⁹. W 1979 roku pozostali przy życiu Ovitzowie znów zamieszkali razem: Elżbieta z mężem zajęli największą sypialnię, Rosika i Franciszka ponownie były nierozłączne, zaś Perla dzieliła pokój z dużą siostrą Sarą. Powoli jednak rodzina wymierała: w 1980 roku umarła Franciszka, potem mąż Elżbiety, zaś w 1984 roku Rosika, która odeszła w wieku 98 lat. W 1992 roku z powodu choroby serca umarła Elżbieta, a rok później Sara.

Perla została sama i była to dla niej tak traumatyczna sytuacja, że „dołączyła” do ukochanych zmarłych jeszcze z swojego życia: na swoim nagrobku kazała wykuć słowa: „Tu leży ostatnia z rodziny karłów, panna Perla Ovitiz, córka Szymsona Ovitza i Batji, która cierpiała każdego dnia swego życia”. Stwierdziła bowiem, że wszyscy byli szczęśliwi, dopóki żyli razem i nawet Mengele nie mógł ich rozdzielić. Na cmentarzu znów mogą być razem, bo pochowano ich tak, jakby ciągle jeszcze zasiadali przy szabasowym stole.

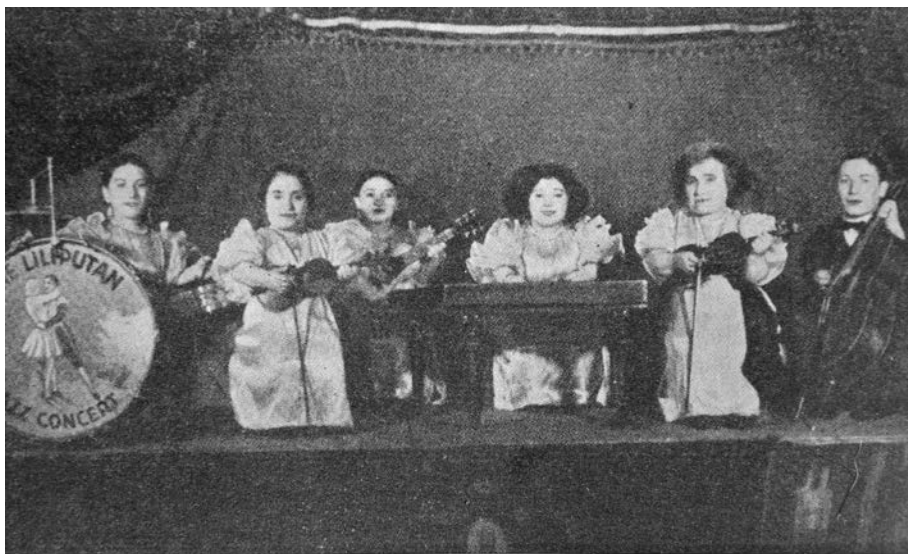
W swoim mieszkanku Perla otoczyła się portretami rodziny, w piątkowe wieczory nie zapominała o szabasowych świecach dla swoich sióstr, nie poddawała się kłopotom zdrowotnym i zawsze była wesoła i otwarta. Do ostatniej chwili mówiła o sobie „Jestem dziewczyną, która...”; codziennie nakładała profesjonalny makijaż, mino że odwiedzały ją głównie osoby z opieki społecznej. Jej szafa pękała od mnóstwa sukienek w tęczy kolorach. Perla starała się być jak najbardziej samodzielna: sama z kuchni przynosiła gościom poczęstunek, w święta gotowała tradycyjne potrawy swego dzieciństwa i odświętnie ubrana obchodziła uroczystość. Chętnie wychodziła na balkon, starannie ubrana i umalowana, co zwracało uwagę przechodniów pozwalających sobie na pogawędkę z tą niezwykłą osobką.

Potrafiła także oddzielić przeszłość od teraźniejszości: podczas gdy inni ocaleni bojkotowali wszystko, co niemieckie, Perla regularnie korespondowała

¹⁹ Tamże, s. 218.

z niemiecką aktywistką, Hannelore Witkofski, działającą na rzecz ludzi niskiego wzrostu. Niemka wielokrotnie odwiedzała pannę Ovitz w Izraelu, a raz nawet zrobiła jej niespodziankę przywożąc nowoczesny wózek z wszelkimi udogodnieniami. „Hannelore zawsze nosi spodnie i była zachwycona, mogąc przymierzyć jedną z moich sukienek. Wyglądała tak ładnie, że uszyłam jej według tego samego wykroju czerwoną letnią sukienkę bez rękawów” – wspominała Perla.

10 stycznia 2001 roku Perla była bardzo zaskoczona, gdy na jej osiemdziesiąte urodziny przyjechała Hannelore i inni przyjaciele z prezentami i balonikami. Była tak szczęśliwa, że zaśpiewała dla tej publiczności kilka piosenek ze swego repertuaru. Perla Ovitz, ostatnia z Trupy Liliputów, odeszła w pokoju 9 września 2001 roku w Hajfie. Do końca zachowała głęboką wiarę, która kazała jej wyznać: „Gdybym była zdrową, żydowską dziewczyną i miała metr siedemdziesiąt, trafiłabym jak setki tysięcy innych do gazu. Kiedy by mnie więc zapytano, po co przyszłam na świat jako karlica, wtedy mogłabym dać tylko jedną odpowiedź, że moje kalectwo było dla Boga jedyną możliwością, żeby mnie zachować przy życiu...”²⁰



Jedyne przedwojenne zdjęcie Trupy „live on stage”: Wieczór jazzowy liliputów. Od lewej: Elżbieta, Rosika, Perla, Frida, Franciszka i Miki. Brakuje tylko Avrama.

²⁰ Tamże, s. 227.



Rozavlea, 1927. Owalne zdjęcie rodzinne, które Mosze Moskowitz znalazł po powrocie do domu Ovitziów. Tylny rząd od lewej: Lea, Szymon Słomowitz, Sara, kuzyn. Środkowy rząd: Ariel, Frida, matka Batja Ovitzi, Avram, Miki. Z przodu: Perla i Elżbieta



Nowa ojczyzna Izrael. W obozie przesiedleńczym Bat Galim, gdzie rodzina żyła od 1949 do 1955 roku. Od lewej: Avram, Frida, Elżbieta, Miki i Perla.



Od lewej: Elżbieta, Perla, Rosika, Frida, Franciszka i Avram.

*Osiemdziesiąte urodziny.
Eilat Negev i Perla,
która związała sobie
włosy wstążką z prezentu.*



*Yebuda Koren
i Perla Ovitz na pro-
mennie w Hajfie.*